

* * *

Już po pierwszych ruchach Anglika odgadł w nim prawdziwego mistrza i zdwoił ostrożność. Tak rozpoczynali walkę tylko ci, którzy nie bez powodu byli pewni swojej ręki. Pierwsze złożenia przeszły bez żadnych niespodzianek. Służyły tylko do tego, by wyczuć prawdziwą siłę umiejętności przeciwnika. Potem walka z wolna stawała się coraz bardziej zacięta, przechodziła w strategiczną rozgrywkę, w grę na wytrzymałość, gdyż ten, kto miał silniejsze ramię i potrafił dłużej wygrywać z własnym zmęczeniem, przeważnie zostawał zwycięzcą. Sir Winslow walczył czysto, w wyrównany sposób, stylem, który był dla Francuza obcy. Theo parował i zadawał ciosy, nadaremnie wypatrując jakiejś luki w obronie przeciwnika i czując, jak ogarnia go niechętny podziw, a nawet szacunek dla tego angielskiego rycerza. Był odmienny od tych Anglików, których znał do tej pory, to trzeba było przyznać. Był też bardzo skuteczny. Kilkakrotnie jego miecz poważnie zagroził życiu młodego Francuza, raz drasnął go w szyję, a raz przeszedł o włos od jego lewego boku, rozcinając skórzany kaftan na przestrzeni kilku cali. Theo musiał wyczerpać wszystkie swe siły i umiejętności, by unikać zabójczego ostrza, a jednocześnie wszelkie

jego próby osiągnięcia Anglika spełzały na niczym. Musiał przyznać, że jest on rzeczywiście bardzo dobry, lepszy nawet niż o nim mówiono. Nie wiedział przy tym, że sir Winslow podobnie ocenia i jego umiejętności. Co do kompanów Theo, to obserwowali tę walkę z najwyższym niepokojem, którego starali się nie okazywać. Milczeli przy tym, starając się nawet oddychać jak najciszej, co było dla nich wielkim wyrzeczeniem, gdyż zazwyczaj, obserwując czyjąkolwiek walkę, nie szczędzili obu stronom złośliwych komentarzy. Teraz jednak stawka była za wysoka. Ośmielony pewną przewagą, jaką udało mu się uzyskać, sir Winslow wykonał nagłą szarżę z półobrotu, odslaniając na mgnienie oka swój prawy bok. Banita błyskawicznie przerzucił miecz do lewej ręki, odbił skierowane w jego bark cięcie i nim Anglik zdążył się osłonić, zadał swój lubiony cios. Miecz, skierowany w podbrzusze przeciwnika, omijał zastawę górą i uderzał sztychem na skos, rozplątując niefortunnego szermierza od żeber aż do łona. Sir Winslow skręcił się w miejscu, rozpaczliwie usiłując odbić cięcie, ale udało mu się jedynie zmienić nieco jego kierunek. Ostrze rozorało mu bok i udo, wchodząc w ciało aż do kości. Wypuścił broń z dłoni i runął na ziemię, przyciskając ręce do rozprutego ciała. Theo przyklęknął obok niego, dobytym nożem rozciął mu kaftan

i zatamował krew strzępami materiału, owijając starannie rozcięte udo.

– Czy ty aby do reszty nie zbzikowałeś, ukochany wodzu ty mój? – Zagadnął go Pierre możliwie najdelikatniej, obserwując z pewnym zdziwieniem te czynności.

– Daj spokój, rannego nie będę przecież dobijać. A gdybym go tu zostawił, na jedno by wyszło. Zawiozę go do klasztoru – odparł mu rycerz z pewną irytacją.

– Ależ to będzie ballada... – westchnął uszczęśliwiony Gwidon, ześlizgując się z drzewa.

– Ja ci zaraz dam balladę... Wypiszę ci każde słowo na tej głupiej gębie! – Wsiadł na niego z góry Pierre. – Wszyscy w las. A ty lepiej go zostaw. On by cię od razu... – Ostatnie słowa skierowane były, ma się rozumieć, do hrabiego, który ostrożnie układał rannego Anglika na końskim grzbiecie.

Theo nie odwrócił nawet głowy na tę uwagę. Znał dobrze swych ludzi i wiedział, że może z wyjątkiem jednego Bertranda żaden go nie zrozumie. Na dobrą sprawę sam nie wiedział, czemu tak naprawdę robi to wszystko, ale czuł się dziwnie. Do tej pory każdego spotkanego Anglika zabijał bez wahania

i rzekł .

„Pomyśl trochę. Koniecznie chcesz być taki, jak oni?” Po raz pierwszy od czasu rzezi w Bongrais miał wątpliwości, co było mu bardzo nie na rękę. Nie chciał ich mieć. W jego odczuciu obniżały sprawność bojową i niepotrzebnie mąciły rozeznanie, ale ten rycerz zmuszał go do zmiany sposobu myślenia i wiedział już, że od tej pory nie będzie mógł tak szybko i bez skrupułów chwycić za broń. Wcale mu się to nie podobało. Ranny poruszył się i szepnął.

– Czemu mnie ratujesz? Przecież następnym razem mogę cię zabić.

– Milczałbyś lepiej – warknął Theo. – Robię tylko to, co muszę. Udowodniłeś mi, że mogą istnieć Anglicy, mający poczucie honoru, tacy Anglicy, których nawet można polubić. Przedtem nie dopuszczałem do siebie nawet istnienia takiej możliwości i może dlatego mogłem być tak skuteczny. Trudno mi wyjaśnić ci, co zniszczyłeś. Ja... ja nigdy ci tego nie wybaczę. Szarpnął w bezsilnej złości wiodzami konia i nie odezwał się więcej ani słowem.

Jezioro pod wieczór było nagrzane i spokojne. Theo pływał i nurkował, zmywając z ciała krew i kurz, ale wciąż nie mogąc uwolnić się od myśli o rannym rycerzu, pozostawionym przed klasztorną bramą. Do tej pory nawet nie dopuszczał do siebie myśli, że Anglik również może mieć w piersi rycerskie, szlachetne serce, tymczasem przykład sir Winslowa dowodził czegoś wręcz przeciwnego. Trudno mu było pogodzić się z tym.

– Hej hej! – Rozległ się na brzegu świeży i dźwięczny głos Bellette. – Pierre mówi, że w głowie ci się przewróciło i żeś do reszty zgłupiał. Co właściwie zrobiłeś?

– Ach, nic nadzwyczajnego! – Odkrzyknął jej Theo – Odwróć się, bo muszę wyjść, a jestem trochę goły!

– Nie widziała dupa słońca, ogorzała od miesiąca – warknął Pierre, wyłaniając się z krzaków. – Idę do klasztoru na przespiegi, a jak wrócę, macie skończyć to migdalenie – Odszedł, nie oglądając się za siebie. Bellette zachichotała.

– Ten to się nigdy nie zmieni – powiedziała, siadając na brzegu i ogarniając kolana rękoma. – Wychodź śmiało, nie takie rzeczy widziałam – Theo podpłynął do niej.

– Jesteś słodka – powiedział czule. – Wiesz, mam wrażenie, że przez to wszystko zamieniłem się w wilka i dopiero teraz powoli staję się na nowo człowiekiem. Jak ty ze mną wytrzymałaś?

– Normalnie. Kocham cię takim, jakim jesteś. Dla ciebie stanę się kim zechcesz, nawet wilczycą. Chcesz, to powyjemy razem do księżycy? – Odpowiedziała mu przekornie. Rycerz roześmiał się serdecznie.

– Jesteś moim słońcem, moim życiem – rzekł. – Boli mnie to, że oprócz ukradkowych pocałunków na sianie nic ci dać nie mogę. Być może nawet stanę się przyczyną twojej zguby.

– Jeśli nawet, to możesz być pewny, że umrę błogosławiąc cię. Kocham twe oczy, czarne jak noc bez gwiazd, kocham twe wargi, gdy do mnie mówisz, kocham twoje silne ramiona, gdy mnie obejmujesz... – dziewczyna pochyliła się i pocałowała go prosto w usta.

– Dobrze, że Pierre tego nie widzi, chyba by mnie zabił – mruknął cicho Theo.

– A Gwidon ułożyłby z tego wiersz do ekliwej melodii – dodała Bellette.

– Ach wy gołąbki – odezwał się za nimi Pierre. – Specjalnie zawróciłem, by sprawdzić co robicie. Bellette, do domu! Ojcowe krowy ryczą już pewnie jak zarzynane, pora udoju dawno minęła. A ty, łotrze, jak się nie wstydzisz dotykać mojej siostry tą samą łapą, którą przed chwilą rozplatałeś tego Anglika? Swoją drogą, że też ona się niczego nie brzydzi... - siostra ze śmiechem trzepnęła go po plecach i odeszła w stronę wioski. Pierre zrzucił kaftan i skoczył do jeziora.

– Zostaw ty ją w spokoju – poprosił, wynurzając się tuż przy swym herszcie. – Jest młoda, zapomni. Z tobą nie czeka jej nic dobrego. Nie ożenisz się z nią przecież, co by na to powiedziała twoja sfera?

– Zapewniam cię, że nic mnie to nie obchodzi. Ożenię się z Bellette, choćby zabronił mi tego sam papież. Wiem, że tobie się to nie podoba, ale ostatecznie żenię się z nią, nie z tobą - odpowiedział mu Theo poważnie, wychodząc z wody i pospiesznie zakładając ubranie.

– Tego by brakowało... Co za czasy – westchnął Pierre z rezygnacją. – Król w niewoli, kraj zrujnowany, a siostra schodzi na psy...

Nie po raz pierwszy dźwięk dzwonka przy bramie klasztoru zwiastował przybycie kogoś, kto potrzebował pomocy. Ojciec Prospero nie był więc zdziwiony samym faktem znalezienia rannego pod furką, choć zaskoczyło go trochę to, iż jest nim angielski rycerz. Anglicy nie korzystali zazwyczaj z jego usług. Nie okazując jednak zdumienia, przy pomocy dwóch milczących braciszków wniósł rannego do jednej z wolnych cel.

– O, widzę znak cechowy naszego rębacza – powiedział, pochylając się nad odwiniętą z prowizorycznego opatrunku okropną raną. – Zatem jeszcze nie zapomniał, jak robić ludziom krzywdę. Proszę się nie ruszać.

– Spróbuję – odparł rycerz, zaciskając zęby z bólu.

– No tak – mruczał mnich. – Nieprędko znowu wsiądziecie na swego pięknego rumaka, a i tak możecie uważać się za szczęściarza. Zazwyczaj każdy Anglik, który ma ten kiepski pomysł, by skrzyżować miecz z Theo le Vengeur, gryzie piach – dołał do kubka z winem kilka kropli jakiejś esencji z butelczki i zmusił rycerza, by to wypił.

– Pomoże wam to znieść ból – wyjaśnił. – Muszę zszyć tę ranę. Biorąc udział w krucjacie nauczyłem się, że rany zszywane smołowaną nicią goją się czysto i szybko, ale samo szycie

jest niewymownie przykre.

– Czy ja wyzdrowieję? – Spytał sir Winslow, konstatując, że pod wpływem esencji o nieznanym mu składzie ból rzeczywiście zmalał, a ukłucie grubej igły jest tępe i jakby odległe. Mnich spojrzał mu w oczy.

– Jeśli noga nie zacznie gnąć, to tak – odparł. – Jednak mocno krwawiące rany rzadko kiedy gniją. Jakims cudem arteria w udzie nie została przecięta, a więc pewnie wyzdrowiecie choć nieprędko. Radzę wam tu zostać, bo trzeba będzie przeżywać wam ranę ziołowymi odwarami, a ja tu mam wszystko pod ręką.

– Zostanę – rzekł sir Winslow poważnie. – Ojcie, ten banita, który mnie zranił... Nie rozumiem go. Prowadzi prywatną wojnę? Przecież nie jest to żaden zbój, a rycerz z krwi i kości. Dlaczego on to robi? – Prospero wzruszył ramionami.

– Bo ja wiem? Myślę, że on ma po prostu kłopoty z równowagą. Nie tak dawno złożył taką dziwną przysięgę, że pozostanie wierny koronie Francji. A że jest honorowy i uczciwy do przesady... – Urwał i zapatrzył się w okno. Nie bardzo wiedział, jak wyjaśnić temu Anglikowi, zapewne święcie przekonanemu o słuszności roszczeń swego króla, czym dla Theo i

jemu podobnych było utwierdzenie angielskiej dominacji w ich ojczyźnie. Jak w kilku słowach przekazać ból tysięcy prawych francuskich rycerzy?

– Podpisano przecież traktat... – Bąknął sir Winslow, odgdując widać jego myśli.

– Ach, traktat – westchnął Prospero. – Traktat podpisali królowie, a cierpią ich poddani, szczególnie prości ludzie, których broni Theo. Wy wszyscy uważacie ich za swoje bydło robocze i nic was nie obchodzi, co czują i jak żyją. Theo nauczył się widzieć w nich swych braci i przyjaciół, więc walczy w ich obrobie i będzie walczył nadal. Mści się za to, co wasi pobratymcy robią z biedakami, a do królów wtrącać się nie myśli.

– A ty co o tym myślisz, ojcze? – Spytał podchwytliwie Anglik – Przecież też jesteś Francuzem – mnich spojrzał na niego surowo.

– Ja jestem zakonnikiem – rzekł dobitnie. – Kocham bliźniego swego jak siebie samego. Nie czynię drugiemu, co mnie jest niemiłe i nie sądzę, żebym nie był sądzony. Nawet gdybym popierał działania tego młodzika, i tak mu tego nie powiem. On zresztą nie pyta mnie o zdanie – Sir Winslow milczał przez chwilę.

– Czy znajdzie się tu inkaust, pióro i kawałek czystego pergaminu? – Spytał po chwili zmęczonym głosem. – Niedaleko stąd stacjonuje mój kuzyn, książę Walii. Chciałbym posłać mu wiadomość, co się ze mną dzieje, bo on wie, po co tu przybyłem i jeśli pomyśli, że zostałem zabity, może zrobić coś bardzo brzydkiego. Czy któryś z ojca braciszków mógłby zanieść pismo? Tylko niech za dużo nie gada.

– Z tym nie będzie problemów, moi bracia ślubowali milczenie – odparł szorstko Prospero. Nie bardzo odpowiadał mu taki gość pod jego dachem, ale nie mógł przecież odmówić chrześcijańskiej posługi nawet wrogowi. Wiadomość, że Czarny Książę jest niedaleko ze swym wojskiem, nie była pomysłem, mimo dwornych manier i zamiłowań artystycznych, słynął bowiem z raczej barbarzyńskich metod prowadzenia wojny. W całej Europie sławiono jego wdzięk i dowcip, a jednocześnie lękano się go jak diabła. Był niebezpieczny, amoralny i gwałtowny, a jednocześnie umiał być sprytnym dyplomata, gdy zaszła taka potrzeba.

„Ciekawe po co go tu diabli przynieśli” pomyślał Prospero, przynosząc rannemu przybory do pisania. W myślach układał już reprimendę, jakiej udzieli Theo za sprowadzenie mu na

kark nieproszonego gościa, ale dał sobie z tym spokój, gdy uświadomił sobie, że dzięki temu otrzymali ważną wiadomość, właśnie tę, że Czarny Księżę jest w okolicy.

Kapitan Moore wszedł do komnaty, w której Don Paulino śleczął nad wykazami inwentarza, przygotowywanymi dla Rogera de Valois. Po jego minie widać było, że nie przynosi dobrych wiadomości.

– Sir Winslow przysłał list do księcia Edwarda – powiedział ponuro. – Theo zranił go dość poważnie, ale darował mu życie. Leży teraz w klasztorze karmelitów bosych nad jeziorem. Nasz przyjaciel rozharatał mu bok i udo, a potem uprzejmię zawiózł pod opiekę mnichów. Winslow pisze o nim podobno w samych superlatywach. Innymi słowy, znowu pudło. Don Paulino skinął głową i w zadumie jął obgryzać koniec gęsiego pióra.

– Powinniśmy to przewidzieć – rzekł po chwili. – Ten przekłety banita zawsze spada na cztery łapy, jak kot. Umie być układny i czarujący, i prawie każdy da się zwieść tej jego słodkiej buzi... Gdyby chociaż chłopci go nie popierali tak bezwarunkowo... Może dałoby się wtedy coś... – urwał i huknął pięścią w stół, aż kałamarz podskoczył, a ciemnogrnatowy atra-

ment trysnął, plamiąc wszystko dookoła.

– Że też wcześniej na to nie wpadłem! – Krzyknął – Kapitanie, zbież kilkunastu ochotników spośród żołnierzy, wywabimy tego lisa z nory.

– Niby jak? – Moore nie krył sceptycyzmu. Poprzednie próby pochwylenia kłopotliwego banity kończyły się źle i kosztowały życie wielu żołnierzy, służących pod jego rozkazami. Nie miał zamiaru sprzeciwiać się Paulinowi. Choć ten w zasadzie nie miał prawa mu rozkazywać, nawet w zastępstwie nieobecnego chwilowo Czarnego Rycerza, Moore na ogół uznawał jego polecenia.

– To proste jak bonjour – gorączkował się intendent. – Theo obwołał się samozwańczo obrońcą ludności tych okolic i konsekwentnie to realizuje. Na pewno da się zwabić wiadomością o zagrożeniu życia tych chłopów, którzy wciąż uważają go za swego seniora. Jeśli ogłosimy, że gdy się nie zjawi, puścimy wieś z dymem, a mieszkańców powywieszamy na okolicznych drzewach, to jak myślisz, co zrobi?

– A ta wieść do niego dotrze? – Spytał z powątpiewaniem kapitan.

– O to jestem spokojny – roześmiał się Paulino. – Ci banici słyszą, jak trawa rośnie. Zbierz ludzi, najlepiej tych, co jeszcze nie mieli z tym szczeniakiem do czynienia.

– A nie lepiej przycisnąć któregoś wieśniaka i wydobyć z niego położenie kryjówki tych wyrzutków? – Poddął Moore.

– No przecież Theo nie jest idiotą – Hiszpan potarł dłonią swój cofnięty podbródek i zamyślił się. – Nie ujawniałby czegoś tak ważnego byle chłopu. Sądzę jednak, że jakoś się z nim porozumieją w potrzebie.

To było coś, co mogło się udać. Miał co prawda rozkaz nie zabijać Theo, póki nie wróci Czarny Rycerz, ale były przecież inne sposoby na wywarcie pomsty, gdy dostanie już znienawidzonego wroga w swoje ręce.

- Dobra. Można spróbować - zgodził się z nim kapitan, ożywiony nadzieją dostania wroga w swoje ręce.

Nienawidził hrabiego de Bongrais prawie równie mocno, jak nienawidził go Paulino, ale darzył go też pewną dozą niechętnego szacunku. W końcu jako żołnierz umiał docenić zarówno odwagę, jak i sprawność bojową, a temu banicie nie brakowało ani jednego, ani drugiego. Zatrzymał się na chwilę

przed wejściem do kordegardy, patrząc na swoje odbicie w tarczy. Wypolerowany metal ukazywał mu zwalistego, wąsatego mężczyznę o pokrytej bliznami twarzy i wypłowiałych kosmykach wokół pokaźnej łysiny, ubranego w gruby kaftan i nogawice wpuszczone w długie buty, oraz kolczugę z ciemnego metalu. Był to wizerunek bardziej pasujący do zbójcy niż do żołnierza, ale nie przejmował się tym. Służył w wojsku od dziecka, a tam nie liczy wygląd zewnętrzny, choć w głębi ducha bolał czasem nad swoją brzydotą, zwłaszcza gdy na zabawach dziewczęta ignorowały go, zwracając się ku innym, hojniej obdarzonym przez naturę.

„Chętnie popatrzę na egzekucję tego Francuzika” pomyślał. „Nie pomogą mu piękne oczy, gdy trafi w moje ręce. Osobiście obedrę go ze skóry.” Gdyby ktoś w tym momencie wytknął mu, iż powoduje nim zawiść, zachnąłby się zapewne ze złością i zaprzeczył, jednak było to faktem. Zazdrościł Theo urody, młodości, a nade wszystko szlachetnego urodzenia. On sam był synem londyńskiego przekupnia i nienawidził tego. Może dlatego tak dobrze rozumiał się z Don Paulinem, który podobnie jak on był nisko urodzony i jego ambicja nie mogła tego ścierpieć. Choć nie zawsze akceptował jego plany, na ogół zgadzali

się ze sobą, tak jak teraz. Kapitan wszedł do kordegardy, wybrał najlepszych jego zdaniem żołnierzy i przystąpił do realizacji planu Paulina.

O tym wszystkim, rzecz prosta, banici nie mieli żadnego pojęcia, i nic dziwnego. Nie mieli przecież „swojego człowieka w obozie wroga”. Tego dnia pracowali głównie nad tym, żeby zapęłnić spizarnię, w której ziały przeraźliwe pustki. W lasach coraz trudniej było cokolwiek upolować, a przecież musieli jeść. Wczorajsza kolacja, na którą składał się gulasz z drobnych gryzoni, doprawiony kaszą z mielonej trawy, stała wszystkim kością w gardle i chętnie zagryźliby ją czymkolwiek, kłopot jednak w tym, że niczego nie mieli. Od rana uganiali się więc po lesie, a w ich „domu” został tylko Martin, pilnujący kotła, pełnego na razie tylko wody. Jako pierwszy wrócił Gwidon, prowadząc ze sobą małego chłopca z zawiązanymi oczami.

– Miałeś nałapać ryb – zwrócił mu uwagę Martin. – Tym chudziną się nie najemy.

– Bardzo śmieszne. Gdzie nasz wódz? – spytał Gwidon, nie naturalnie jak na niego poważny.

– Sprawdź na sianie. Pewnie figluje tam z moją rozpustną

siostrą – powiedział Pierre, wychodząc z krzaków.

– Pytam poważnie – zniecierpliwił się trubadur.

– Poważnie odpowiadam – rzekł Pierre, rzucając Martinowi dwie dzikie kaczki. – Nie sędzę, by było inaczej. Wróciłem, bo zepsuł mi się sandał, ale zdążyłem ustrzelić te pisklaki. Zobaczycie, on nic nie przyniesie.

– Coś ty taki cięty na naszego wodza? Jeśli szybko nie wróci, obojętne, z łupem czy bez, będzie w Dwóch Prętach jatka – rzekł ponuro Gwidon, zdejmując przyprowadzonemu chłopcu opaskę z oczu.

– Wymyśliłeś to sobie, czy rzeczywiście coś się kroi? – Spytał Pierre podejrzliwie. Chłopiec zaczął płakać. Tymczasem na polanę powoli ścigali inni członkowie bandy, przeważnie z pustymi rękami i kwaśnymi minami. Jako ostatni wrócili Theo z opróżnionym do połowy kołczanem i Bertrand, wymachujący pękiem ustrzelonych zajęcy.

– Zawsze mówiłem, że zostaniesz dobrym łucznikiem, jak się przyłożysz – Bertrand rzucił zajęce Martinowi i zmarszczył czoło, spojrzawszy na płaczące dziecko.

– Co tu się dzieje? – Spytał. Chłopczyk podbiegł do rycerza

i objął jego nogi, wtrącając go w okropną konfuzję.

– Ratuście, panie... – wychlipał.

– Masz tobie. Od czego? Mówże skłádniej – Theo rozejrzał się po swoich ludziach, szukając jakiegoś wytłumaczenia.

– Don Paulino sprowadził Anglików do wioski. Biją i rabują, chcą wieszać. Mówią, że jeśli nie zjavisz się sam, spalą całą wioskę i wszystkich zabiją – płakał chłopiec, tuląc się do niego rozpaczliwie.

– Ach tak – Theo zrozumiał w końcu, o co chodzi. – No cóż, Paulino wreszcie wpadł na świeży pomysł. Ten szczer kaduczo nie chce się do mnie dobrać. Zrobię mu chyba tę przyjemność. Niech mnie, co chce, kosztuje, ja się w to angażuję.

– Nie rymuj. To moja domena – obraził się Gwidon.

– Dobra, dobra. Wyprowadź dzieciaka na drogę i co duchu tu wracaj – polecił mu wódz surowo, uspokajając chłopca jak się dało. Gwidon co prędzej spełnił rozkaz i zadyszany wrócił na polanę.

– Chyba zdajesz sobie sprawę z tego, że jeśli tam pójdziesz, to jakbyś sam prosił się o jakieś nieszczęście? – Powiedział do wodza.

Theo dokończył spokojnie czesanie potarganych i ozdobionych zeszlými liściami włosów, po czym umył twarz i ręce w strumyku.

– Jak na poetę bywasz strasznie przyziemny – zauważył, prostując się i wycierając dłonie o kaftan. – Jak wyglądam?

– Jak banita bez piątej klepki – odparł Pierre. – Co ty masz zamiar zrobić?

– Zrobię Paulinowi niespodziankę – odpowiedział mu rycerz.

– Pójdiesz tam sam? – Upewnił się Jean.

– Ależ oczywiście.

– To gdzie ta niespodzianka? – spytał sceptycznie Olivier.

– A ta niespodzianka to to, że zostawię was za sobą w ukryciu – wytłumaczył mu przyjaciel. – Policzycie do stu pięćdziesięciu i...

– Do stu pięćdziesięciu? – przerwał mu PierreP – Boże święty, my nie umiemy.

– Żaden? Co za banda ignorantów – westchnął Theo, podnosząc oczy ku niebu.

– Igno... co takiego? – Nie zrozumiał Pierre.

– Nieważne. Który z was umie liczyć do jakiejś przyzwoitej sumy? – Spytał rycerz, rozglądając się po swych mocno zmieszanych kompanach.

– Ja – zgłosił się Alain i dodał. – Do piętnastu. Tyle brałem za podkucie konia.

– Dobrze. Zatem policzysz dziesięć razy do piętnastu – zgodził się Theo z rezygnacją. – Potem zaatakujecie te psy angielskie od tyłu. Ja będę stał od przodu i absorbowałem ich uwagę. Nie wystawcie mnie tylko do wiatru, bo mogę stracić głowę. Dosłownie.

– No wiesz co? – Obrazili się przyjaciele nieomal jednogłośnie.

– Jeśli dobrze to rozegramy, te matoly połapią się, gdy będzie już grubo za późno – dokończył rycerz.

– Miło było cię poznać, mimo wszystko – mruknął Jean, przygryzając nerwowo rudy wąs.

– Cicho bądź, wiewiórko. W zasadzie wiem, co robię – Theo trzepnął go po przyjacielsku w plecy, następnie rozwinął swą procę i obejrzał ją dokładnie, czy się nie strzępi. Nie my-

ślał, by w tej misji była potrzebna, ale wołał być przygotowany na wszelkie ewentualności. Nie wiedział, ilu dokładnie Anglików zastanie w Dwóch Prętach, ale wszelkie wątpliwości zachowywał dla siebie. Inni nie zgłaszali już sprzeciwu. Theo zawsze umiał narzucać innym swój punkt widzenia, a na dodatek robił to tak, że nikt nie ośmielał mu się sprzeciwić.

Tymczasem w wiosce Dwa Pręty Don Paulino i kapitan Moore czekali na efekt swoich działań, niecierpliwie rozglądając się dookoła. Wieśniacy, spędzeni na środek wioski, stali sparaliżowani strachem, Żołnierze plądrowali ich chaty, wyciągając z kątów tych, co zdołali się gdzieś ukryć i rabując co tylko się dało. Większość wieśniaków nie wierzyła w to, że Theo zjawi się, by im pomóc, no bo któż to widział, by ktoś narażał życie w obronie całkiem obcych ludzi? Żeby szlachcic narażał życie dla chłopów? Mimo to rozglądali się z irracjonalną nadzieją, gotowi powitać z wdzięcznością każdego, kto wstawiłby się za nimi. I chociaż jedni i drudzy rozglądali się tak pilnie, ten, na którego czekali, zjawił się zupełnie niespodziewanie, jakby wyrósł spod ziemi. Stał spokojnie, założywszy ręce na piersi, i spod rozwichrzonej wiatrem grzywy przyglądał się zgroma-

dzonym, spokojny, jakby oglądał uliczne przedstawienie. U jego pasa połyskiwał miecz w ozdobnej pochwie, na rozchy-lonym kaftanie lśnił matowym blaskiem rodowy ryngraf z ku- tego srebra. Mimo że nie wyglądał szczególnie groźnie, wszy- scy zastygli w miejscu, zaskoczeni tak nagłym jego pojawie- niem się między nimi.

– Czekacie na kogoś, czy tak sobie postanowiliście postać?

– Spytał Theo drwiąco.

– A więc jesteś! Nie mogliśmy się ciebie doczekać! – Zawo- łał Don Paulino. – Żołnierze marzą tylko o tym, by dostać cię w swoje ręce! – Banita uśmiechnął się zimno.

– To niech mnie sobie wezmą – powiedział z zamierzoną prowokacją.

– O nie – odrzekł kategorycznie Paulino. – Nie dam ci oka- zji do bohaterskiej śmierci. Podejdiesz tu grzecznie i oddasz broń, zrozumiano?

– To zły pomysł – Theo uśmiechał się nadal, ale tak, że wszystkich patrzących na to przechodził dreszcz. – Jeśli podej- dę do ciebie na długość miecza, jak nic zdarzy się jakieś nie- szczęście, przynajmniej dla ciebie i dla twego angielskiego

przyjaciela, którego podkomendni kryją się dzielnie za plecami kilku wystraszonych wieśniaków. No co jest, wesola Anglio? Ruszcie się. Ja jestem jeden, a was ze dwudziestu, może któryś przeżyje, kto wie? A tak przy okazji, zaczęliście bawić się w katów, czy też może to taki angielski zwyczaj, by wieszać chłopów, gdy jaśnie pan się nudzi? Zabawa niezła, przyznaję, tylko jakaś niesmaczna - kapitan Moore splunął i spał konia, ale Don Paulino chwycił go za ramię.

– Nie. On próbuje cię sprowokować – ostrzegł go. – Niech twoi ludzie wezmą kusze i skoro tylko ten banita się ruszy bez mojego pozwolenia, niech wpakują mu strzałę w jakieś mniej ważne miejsce. Muszę wziąć go żywcem.

– To ma sens – zgodził się z nim Moore.

Rzeczywiście, gdy w pierś człowieka mierzy kilkunastu kuszników, jego umiejętności szermiercze tracą na znaczeniu.

Naprawdę trudno byłoby zarzucić cokolwiek temu rozumowaniu, tyle tylko, że żołnierze nie zdążyli sięgnąć po odłożone wcześniej kusze. Nie wiadomo skąd za ich plecami pojawili się uzbrojeni ludzie i nim Anglicy zdążyli zorientować się w nowym zagrożeniu, padli pierwsi zabici i ranni. Paulino i kapitan Moore, przerażeni i zdezorientowani rozpętaną nagle bitwą, nie

od razu zorientowali się, że Theo, miał włączyć się do bitwy, zrobił coś zupełnie innego. Przemknąwszy się pod brzuchami ich koni wskoczył na siodło Hiszpana, tuż za nim. Intendent wrzasnął z przerażenia, gdy muskularne, ogorzałe ramię owinęło się wokół niego, przyciskając mu ręce do ciała. Umilkł jednak zaraz, poczuwszy ostrze sztyletu na szyi.

– Kapitanie Moore – powiedział Theo głośno. – Proszę nakazać swoim ludziom przerwanie walki, w przeciwnym razie poderżnę gardło temu zdrajcy, a przysięgam, że ręka diabelnie mnie świerdzi. Wy, kapitanie, będziecie następni, i zapewniam, że zdążę, nim którykolwiek z żołnierzy przyjdzie wam z pomocą... zakładając, że któryś z nich jeszcze będzie żył.

– Złożyć broń! – Krzyknął Moore wściekle. Jego żołnierska krew burzyła się na samą myśl o uleganiu bandzie leśnych zbójców, był jednak na tyle byстрыm taktykiem, by wiedzieć, że tę bitwę przegrał, a nie chciał niepotrzebnie szafować życiem swych ludzi.

– Tak lepiej – skinął głową banita. – Hej, was to też dotyczy! Alain, zostaw tego żołnierza, nie jego wina, że jest ofermą.

– Więc? - zwrócił się kapitan do niego ostro. Theo uśmiech-

nał się.

– Tylko spokojnie, kapitanie, takie wzburzenie wam nie przystoi – rzekł i zeskoczył z konia, ściągając Don Paulina ze sobą. – A zatem, przede wszystkim zostawicie w spokoju tych ludzi, jak na jeden dzień wyrządziliście tu dosyć szkód. To moi poddani i będę ich bronił. Po drugie, zawrzyjmy układ. Wy nie dopuszczacie się gwałtów na tych terenach, nie mordujecie i nie rabujecie, a ja nie zabijam więcej angielskich żołnierzy, jeśli nie będę musiał. W przeciwnym razie ostrzegam, za każdego zabitego chłopą z tych okolic i za każdą zniewoloną kobietę zapłaci mi życiem jeden angielski żołnierz. Czy to jasne?

– Moore... - jęknął Paulino czując, jak ostrze sztyletu wpija mu się w szyję. Kapitan pomyślał przez chwilę, starając się uspokoić wzburzone nerwy.

– Zgoda, niech ci będzie – rzekł wreszcie lodowato. – Ze swej strony jednak obiecuję ci solennie, mości banito, że powieszę cię na pierwszym lepszym drzewie, gdy dostanę cię wreszcie w swoje ręce.

– Może być – stwierdził Theo, niespeszony tą zapowiedzią.
– Wolę wisieć martwy na francuskim drzewie, niż chodzić żywy w angielskich barwach, ale rozumiem, że to kwestia oso-

bistych upodobań. Zaś co do ciebie, Paulino... Postanowiłem, że jeszcze cię nie zabiję. Co mi przyjdzie z tego, że udekoruję tę miłą wieś twoimi flakami? Mam zamiar zemścić się na tobie dużo boleśniej, a to wymaga czasu, więc na razie zostawię ci tylko coś na pamiątkę - przejechał ostrzem sztyletu po jego lewym policzku, rozcinając skórę od czoła do podbródka.

– To zaliczka – rzekł z paskudnym uśmiechem. – Pełna wypłata czeka cię za jakiś czas, ale nie powiem kiedy. Będziesz wtedy wył o śmierć. No, panowie Anglicy, zabierajcie się stąd, ale już, bo mogę zmienić zdanie i cały układ diabli wezmą.